

Ulice, domy, ludzie

druga część wspomnień Macieja Paneckiego o Bychawie lat trzydziestych XX wieku.

Ludzie, lata, losy

Maciej Panecki, Warszawa

Prostujemy pomyłkę w pisowni nazwiska rodzimego matki autora wspomnień cz. I: Maria z **Borkowskich** Panecka. Za pomyłkę przepraszamy.
Na prośbę czytelników zamieszczamy ponownie, tym razem powiększoną fotografię „Święto morza w Bychawie”

dowane od wschodu obrą i innymi pomieszczeniami gospodarczymi, od zachodu osłonięte wysokim na 2,5 metra parkanem z bramą wjazdową dla furmanek i furtką dla pieszych, a od południa ograniczone murowanym parterowym budynkiem mieszczącym areszt gminny, mieszkanie stróża i przy-

wać ścisłymi informacjami o stanie końskiego pogłowia w kraju, i jego przydatności dla armii. Dla realizacji tego zadania przy wszystkich tzw. Dowództwach Okręgów Korpusów (w skrócie DOK, mający w Lublinie nr II) w Polsce działały specjalne komórki dokonujące okresowych

wadzić go przed komisją, która dokonywała zaszeregowania rumaka do odpowiedniej kategorii przydatności wojskowej, lub decydowała o skreśleniu go z ewidencji. Na czele komisji DOK II z Lublina stał pułkownik Treger, wysoki, postawny oficer w wieku około 45 lat, który miał do pomocy cywilnego sekretarza, wspomnianego referenta z urzędu gminy, w osobie p. Stefana Frączka, i podoficera pilnującego porządku na placu, na którym odbywał się przegląd i wywołujący poszczególne właścicieli z końmi przed oblicze surowego pułkownika. Podprowadzony koń dostawał się przed doświadczone, bystre oko pułkownika, który głośno dyktował sekretarzowi cechy zwierzęcia i końcową jego kwalifikację. Rytualną czynnością w czasie przeglądu było przebiegnięcie przez konia, wraz z prowadzącym go właścicielem, pewnego odcinka placu w celu stwierdzenia, czy zwierzę nie ma jakichś wad motorycznych.

Trzecim pracownikiem urzędu była pani Rogulska, żona komendanta posterunku PP, czyli Policji Państwowej w Bychawie, sympatyczna korpulentna blondynka, do obowiązków której należało prowadzenie korespondencji urzędu. Ostatnim członkiem personelu był młody człowiek, Piotr Łyś, zajmujący się obsługą sołtysów, sprawami sądowymi i komorniczymi. Średniego wzrostu, lekko pochylony, *chory na piersi* jak się wtedy mówiło, co spowodowało, że musiał się wycofać z seminarium duchownego, do którego wstąpił wcześniej z zamiarem zostania księdzem.

Do obowiązków sekretarza gminy należało, oprócz oczywiście nadzoru nad pracą personelu urzędu, sporządzanie i realizacja budżetu gminy, prowadzenie tzw. *księgi głównej*, będącej odzwierciedleniem tej realizacji, przewodniczenie posiedzeniom Rady Gminnej i sporządzanie jej uchwał, prowadzenie kasy gminnej, organizacja i prowadzenie sesji sołtysów, nadzór nad inwestycjami gminnymi, i reprezentowanie gminy przed urzędami wyższych szczebli, organizacja wyborów do Sejmu RP i do Rady Gminnej, załatwianie i rozwiązywanie bieżących spraw i problemów, jakie pojawiały się w żywym organizmie, jakim była przecież licząca 10 tysięcy mieszkańców gmina. Formalnie najwyższym urzędnikiem w gminie był wójt pochodzący z wyboru, ale najczęściej był nim rolnik mający własne gospodarstwo, niskie wykształcenie i mieszkający często w odległej od miasteczka o parę kilometrów, co siłą rzeczy ograniczało jego bytność w urzędzie. Wszyscy poza wójtem urzędnicy gminni byli pracownikami

mianowanymi, etatowymi, powoływanymi przez tzw. Wydział Powiatowy, będący organem, który zastąpił bodaj w 1930 roku, istniejący przedtem Sejmik Powiatowy. Przewodniczącym Wydziału był z urzędu starosta powiatowy, reprezentant władz państwowych, a Wydziałowi podlegało biuro prowadzone przez sekretarza Wydziału, które realizowało uchwały tego organu dotyczące budowy dróg, mostów, infrastruktury terenowej.

Gmina a powiat

Niepodległa Polska okresu międzywojennego podzielona była administracyjnie na 16 województw i wydzieloną stolicę – Warszawę. Województwa dzieliły się na powiaty a te na gminy. Od szczebla powiatu w dół zarządzanie krajem miało charakter dwutorowy – administracji państwowej w postaci starostw i samorządu terytorialnego w formie wybieralnych sejmików powiatowych, które, jak już wspomniałem, przekształcone zostały później w Wydziały Powiatowe. Na szczeblu gminy odpowiednikiem Wydziału Powiatowego była wybierana przez mieszkańców Rada Gminna z wójtem jako jej przewodniczącym. Sekretarz gminy był wtedy w pewnym sensie odpowiednikiem starosty na tym stopniu administracji kraju. Gmina stanowiła zbiór pewnej liczby wsi (gromad), na czele których stali wybierani sołtysi, będący reprezentantami wsi wobec gminy i jednocześnie łącznikami między nią a mieszkańcami gromad (sołectw).

Do gminy Bychawa należało w latach 1930-tych szesnaście gromad (sołectw), a mianowicie: Bychawa, Grodzany, Zdrypy, Ządebie, Wandzin, Wola Mała Bychawska, Wola Duża Bychawska, Zaraszów, Osowa, Olszowiec, Gałęzów, Wola Gałęzowska, Kolonia Gałęzów, Leśniczówka, Wincentówek i Podzamcze. Sama Bychawa reprezentowana była wobec władz przez dwóch sołtysów – jednego dla ludności polskiej i drugiego dla ludności żydowskiej. Sołtysem „polskim” w Bychawie był imiennik prowadzącego sklep „Jedność”, także Jan Luterek. Sołtysem żydowskiej części obywatelstwa miasteczka był natomiast drobny sklepikarz o nazwisku Kuna Cajg. Raz na tydzień, w każdą środę, sołtysi zbierali się w gminie na swojej sesji, na której omawiane były aktualne sprawy administracyjne, przekazywane zarządzenia wyższych instancji i, odwrotnie, formułowane i zgłaszane wyższemu urzędowi dezyderaty i problemy mieszkańców wsi. Sołtysi w tamtym okresie czasu spełniali także w pewnym sensie rolę listonoszy, ponieważ poczta nie dysponowała jeszcze pełnoetatową służbą wiejskich doręczycieli i, nolens volens, musieli to robić sami sołtysi.

Bezpośrednim zwierzchnikiem urzędu gminy jako placówki samorządu terytorialnego był inspektor powiatowy, zakotwiczony w Wydziale Powiatowym i podlegający, ze względu na wspomniane wyżej zależności służbowe, staroście powiatowemu. Powiatowym inspektorem lubelskim w latach 1930-tych byli pp. (im.?) Typiak i Mieczysław Paluch, kompetentni, wykwalifikowani urzędnicy,

dokończenie na str. 2



ŚWIĘTO MORZA Święto Morza w Bychawie, czerwiec 1934.

Zalew Gałęzowski u podnóża kościoła parafialnego. Po zalewie płytnie kajak zbudowany przez uczniów szkoły powszechnej pod nadzorem profesora Iwanka, a w nim profesor i trzech uczniów, co ma symbolizować łączność z morzem i flotą. Na stoliku, umieszczonym na małym pomoście, stoi i przemawia do gromady ludzi, którzy wyszli z kościoła po sumie, działaczka społeczna panna Zemszałówna. W pierwszym rzędzie stoją od lewej: ówczesny wójt Władysław Luterek, radny gminy i działacz społeczny, w dobrym tego słowa znaczeniu Antoni Frączek (5), komendant policji Tadeusz Kamiński z córką Krysią (ofiara Powstania Warszawskiego z 1944 r.), radny Pietras, sekretarz gminy Józef Panecki, księża, harcerze i gromada widzów. Widoczne budynki to organistówka i w głębi plebania.
fot. Wl-w Hanaj, zdjęcie i komentarz Macieja Paneckiego, Warszawa 2003

Gmina i jej pracownicy

Południową pierzeję rynku zajmował drewniany wtedy budynek urzędu gminy, którego architektura typowa była dla pozostawionych przez zaborców rosyjskich siedzib lokalnej administracji. Kryta gontami parterowa budowla mieściła w jednej połowie dwupokojową kancelarię urzędu, a w drugiej, również dwupokojowe, służbowe mieszkanie sekretarza gminy.

W mieszkaniu tym, dawno już nie istniejącym, miałem szczęście zobaczyć po raz pierwszy w życiu Boży świąt i spędzić w nim najszczęśliwsze pierwsze 11 lat życia..

Wiele wzruszających i niezapomnianych przeżyć zapadło mi z dzieciństwa w pamięci. Do najmiłszych należały święta – wieczór wigilijny i Boże Narodzenie oraz Wielkanoc. Miejsową, jak sądzię, tradycją było, że w Wielką Sobotę podjeżdżał powozem „pod gminę” ówczesny proboszcz mający senatorski wygląd, ks. kan. Antoni Zieliński i święcił jajka, pisanki, ciasta, mazurki i mięsniwa przygotowane na święta. Oczywiście zaszczyt ten spotykał i innych notabli bychawskich.

Z drugiej strony budynku gminy znajdowało się podwórce obu-

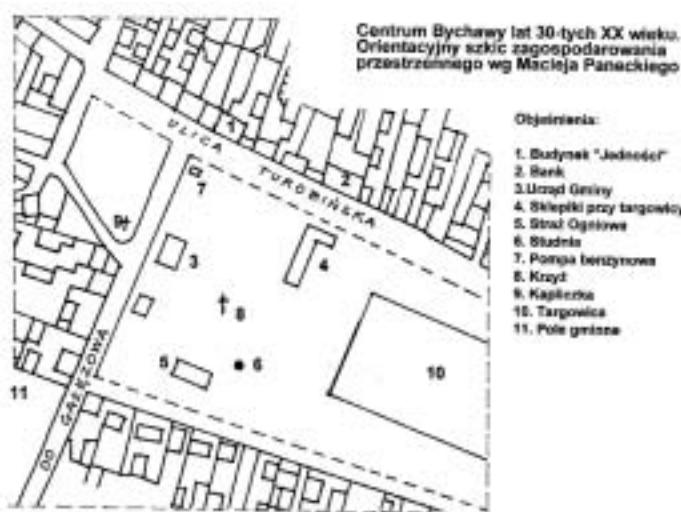
legającą do aresztu drewnianą stodołę.

Instytucja gminna skupiała jak soczewka optyczna większość przejawów życia społecznego i gospodarczego Bychawy i okolic. Zajmująca zaledwie dwa pokoje w opisanym wcześniej budynku na głównym rynku miasteczka, zatrudniała, oprócz sekretarza i pochodzącego z wyborów wójta, czworo pracowników. Zastępcą sekretarza był Tadeusz Neiman – szczupły, lekko pochylony i lekko tysięcący brunet, który prowadził dział podatkowy urzędu. Ewidencją ludności gminy i... koni zajmował się młody Stefan Frączek, średniego wzrostu energiczny blondyn, ubrany zawsze wg najbardziej aktualnej mody męskiej, czego ówczesnym wyrazem były m. in. noszone przez niego wysokie buty oficerki, z paskami zapinanymi na sprzączki nad cholewami.

Koński przegląd

Pewnego wyjaśnienia wymaga prowadzona przez niego ewidencja koni dla celów wojskowych. Ponieważ głównym środkiem lokomocji w naszej armii międzywojnia była poczciwa konna furmanka, więc wojsko musiało, dla celów ewentualnej mobilizacji, dyspono-

przeглядów stada końskiego na podlegających im obszarach, w celu kwalifikowania zwierząt z punktu widzenia ich przydatności dla wojska. Właściciel każdego konia, mającego od 2 do 6 lat, obowiązany był zgłosić go w urzędzie gminy, gdzie otrzymywał dokument w postaci książeczki w czarnych okładkach, będącej pewnego rodzaju *dowodem osobistym* konia. Były tu zapisane parametry konia i jego właściciela, a w szczególności maść zwierzęcia, wzrost, płeć, stan uzębienia, stan i budowa nóg, ewentualne wady anatomiczne itp. oraz, oczywiście nazwisko i adres właściciela konia. Na wspomniany coroczny przegląd koni każdy właściciel posiadający książeczkę zwierzęcia obowiązany był dopro-



Ludzie, lata, losy

dokończenie ze str. 1

a starostą był dr Józef Dańkowski, poważny i poważany gospodarz powiatu. Swoją działalnością i posiadaniem autorytetem zaskarbił sobie zaufanie obywateli, za co zapłacił jednak najwyższą cenę, bo śmierć przez rozstrzelanie jako hitlerowski zakładnik w wigilię Bożego Narodzenia 1939 roku. W egzekucji tej, oprócz dr. Dańkowskiego, straceni zostali także inni notabie lubelscy, a wśród nich wojewoda de Tramecourt, prezes Sądu Apelacyjnego w Lublinie dr Bryła, księża, nauczyciele, kurator szkolny lubelski Klebanowski i szereg innych osób. O sylwetce dr. Dańkowskiego może świadczyć fakt nazwania w latach 1950-tych przez komunistów jednej z ulic Lublina Jego imieniem, mimo że należał on do tak zniechęconej przez nich sanacji.

Policja i stróżę porządku

Obok urzędu gminy drugim filarem administracji lokalnej na szczęblu gminy był posterunek PP (Policji Państwowej). Mieścił się on wówczas na drugim piętrze gmachu należącego do Banku Spółdzielczego, a jego załogę stanowił komendant, jego zastępca i trzech policjantów. Pierwszym komendantem posterunku w Bychawie był starszy przodownik Barszczewski. Po nim nastąpił starszy przodownik Rogulski. Wysoki, tegi, postawny mężczyzna w wieku wtedy około 40 lat, który samym swoim wyglądem wzbudzał powszechny respekt, i gdy pojawiał się na ulicach miasteczka, spotykał się ze spontanicznymi objawami szacunku przejawiającego się w oddawaniu mu niewymuszonych pozdrowień przez przechodniów obywateli narodowości. Jego zastępcą był przodownik Budziszewski, dla kontrastu jakby niskiego wzrostu a dodający sobie powagi, czy może animuszu, stale noszoną przy boku szablą i wydłużonym, marszowym krokiem. Właściwą kadrę roboczą placówki stanowili posterunkowi pp. Krysa (Kryśka?), Dacko i Świeboda. Posterunkowy Krysa był postrachem dla wszystkich miejscowych czynnych i potencjalnych przestępców i awanturników. Średniego wzrostu (1,75 m), przystojny, w wieku około 30 lat, z nadającym mu charakterystyczny wyraz twarzy złołymi koronkami na zębach i ostrym, przenikliwym spojrzeniem jasnyniebieskich oczu. Wraz z drugim posterunkowym, p. Dacko, wysokim, przygarbionym nieco, jasnym blondynem, potrafili we dwóch spacyfikować największą nawet awanturę pijacką w miasteczku. Świeboda zaś, w wieku ponad 40 lat, pracował metodami nieinwazyjnymi, polegającymi raczej na perswazji, bez stosowania przemocy.

Ach te targowe wtorki

Najwięcej pracy policja bychawska miała w dni targowe ustalone na każdy wtorek tygodnia. Wszechstronne zaopatrzenie i wymiana produktów między mieszkańcami miasteczka i okolicznych wsi odbywała się od dawna w ten wybrany dzień tygodnia, w którym ludność Bychawy potrajała się, a jej place i ulice były zatłoczone furmankami, kramami, no i oczywiście ludźmi. Trzeba zauważyć, że gleba w gminie Bychawa i w sąsiednich gminach

jeszcze *drobiazgu*. Bolek był wysokim, ospowatym mężczyzną w wieku około 30 lat, o ponurym wyrazie twarzy. Młodszy Edek, średniego wzrostu, o przystojnej nawet twarzy, ale też niezbyt sympatycznej, z rzucającym się w oczy wydatnym orlim nosem, był zawsze elegancko ubrany, w przeciwieństwie do bezbarwnie prezentującego się Bolka. Dorosła siostra nie wyróżniała się niczym, oprócz, jak jej bracia, skłonnością do kieliszka i związanych z tym rozróbek. Z rodziną ta policjanci mieli zawsze sporo kłopotów, bo w razie jakichś nieporozumień wszyscy jej członkowie stawali jak jeden mąż, przeciw stróżom porządku. Dra-

niejaki pan Gienek, kierowca autobusu kursującego na linii Bychawa-Lublin. Podrażniony w swej ambicji p. Gienek uprosił policjantów, aby go wpuścili do aresztowanego, a on mu da taki wycisk, że zrozumie, kto się tu kogo boi. W końcu zgodzili się na to, ale na wszelki wypadek nie odchodzili z podwórza gminnego, czekając na rezultat pojedynku, z którego wyszedł jednak zwycięsko przyjezdny awanturnik, zmuszając p. Gienska do rejterady i wołania o interwencję stróżów porządku.

Krewki szewc

Innym stałym „klientem” bychawskiej policji był szewc Jan S.



Bychawa sprzed 1939 roku. W budynku nr1 parterowym obok banku mieścił się skład apteczny Żyda NN; w domu nr 2 za bankiem mieszkała rodzina; w domach nr 3 i nr 4 mieściły się dwie instytucje: gabinet dentystyczny dr Dworeckiej, Żydówki i Kasa Chorych Wcisły (mąż Dworeckiej, inżynier, przebywał we Francji, ale od czasu do czasu przyjeżdżał do Bychawy, słyszałem rozmowę tego małżeństwa po francusku w poczekalni gabinetu, gdy przychodziłem tu jako pacjent z mamą)

Krzczonów, Niedrzwica czy Piotrowice była wysokiej na ogół klasy, bardzo urodzajna, znacząca więc była liczba bogatych rolników i wysokowydajnych towarowych gospodarstw rolnych. Sprzedaż plonów ziemi była głównie źródłem utrzymania ludności wiejskiej, a obrót tymi produktami był z kolei fundamentem egzystencji licznej ludności żydowskiej, która monopolizowała handel większością artykułów rolnych, a zwłaszcza zbożem, drobiem i jajami. Polacy mieli natomiast monopol na handel nierogacizną, ale chyba tylko dlatego, że ze względów religijnych była ona dla wyznawców religii mojżeszowej przedmiotem tabu. Oprócz chłopów, Żydów i mieszczan bychawskich pojawiali się też na jarmarkach rozmaici wydrwigrosze, pospolicz złodziejaskowie i awanturnicy. Te *niebieskie paszki* stanowiły stały przedmiot troski bychawskiej policji. Nie było chyba jarmarku, żeby policjanci nie doprowadzili do aresztu gminnego, czyli jak się wtedy mówiło do kozy, jednego, lub kilku, przedstawicieli tego marginesu społecznego. Odbywało się to czasem w okolicznościach humorystycznych, a czasem nawet dramatycznych. Była np. w Bychawie pewna rodzina złożona z dorosłej córki i kilkorga

matycznym epizodem z potyczek policjantów z tą rodziną była sytuacja, w której zmuszeni oni byli nawet do użycia broni, oddając strzały w momencie gdy szarpanina z Edkiem, a zwłaszcza z silnym jak tur Bolkiem groziła porażką. Zdarzył się kiedyś humorystyczny wypadek, gdy czterej policjanci pp. Budziszewski, Krysa, Dacko i Świeboda nieśli pijaną dziewczynę do aresztu, trzymając ją we dwóch za ręce, i dwóch za nogi. Awanturka wrzeszczała przy tym na cały głos, od czasu do czasu próbując gryźć policjantów po rękach, co spotykało się z ich strony z reakcją, polegającą na unieruchamianiu silną dłońią jej organu głosowego. Jednocześnie dziewczyna machała rozpaczliwie nogami, a nie było wówczas w wyczajeniu noszenie latem przez kobiety bielizny osobistej...

Oprócz miejscowych pijaków i awanturników, sporadycznymi lokatorami aresztu gminnego byli też inni, różne pojawiające się na jarmarkach i odpustach przyjezdne typy o skłonnościach przestępczych. Kramarze, czasem jacyś handlarze, niekiedy zawodowi złodzieje, a nawet bandyci. Pewnego razu bychawscy policjanci z największym trudem przytaszczyli do aresztu takiego przelotnego ptaszka, który oszukał na grze w napałstki kilku chłopów, gdy zaś ci zaczęli się upominać o zwrot przegranych, sporych jak na ówczesne czasy kwot, pobił ich, a zanim wezwany policjantom udało się go obezwładnić i doprowadzić do kozy, stoczył ze stróżami prawa zaciętą bójkę. Zwykle pierwszą reakcją tego typu awanturników po znalezieniu się w celi było wybiecie wszystkich szyb w zakratowanym oknie i pijacki monolog z najbardziej plugawym słownictwem, znanym wtedy z ulicy, a i dzisiaj jeszcze niestety używanym. Wspomniany oszust jarmarczny wyrzaskiwał przytym, że on ma „siły 45” i nikogo z policjantów, ani bychawiaków się nie boi. Stanowiło to swoiste wyzwanie dla słuchających takich przechwałek miejscowych zuchów. Był wśród nich

Również nałogowy alkoholik; przechodzący po upojeniu wódką w stan silnej agresji zarówno wobec bliskich, jak i osób postronnych. W pierwszym rzędzie odczuwała to jego żona, młoda, ładna i sympatyczna kobieta, która znajdując się często na pierwszej linii styczności z pijakiem odczuwała w sposób bolesny siłę jego pięści. Był to bowiem bardzo silny, choć niewysoki mężczyzna (1,65 m). Gdy po otrzeźwieniu odsiadywał w areszcie karę za urządzoną uprzednio awanturę, okazywał się miłym, uczynnym, życzliwym dla ludzi osobnikiem. Trudno powiedzieć, czy w ogóle lubił dzieci, czy też może ja cieszyłem się szczególniejszą sympatią tego niewątpliwego awanturnika, w każdym razie, gdy pojawiałem się na podwórzu gminnym, a Jan S. był wypuszczany z „kozy” i odsiadywał swoją karę w „plenerze”, to wówczas wołał mnie do siebie i starał się w rozmaity sposób rozbawić i zainteresować swoją osobą, a być może zabił w ten sposób dłużący mu się czas. Do stałego repertuaru Jana S. należało np. pokazywanie mi swoich bicepsów, które były rzeczywiście imponujące. Innym gwoździem programu było kładzenie się naznak, stawianie mnie na swojej atletycznej pierśi i zachęcanie mnie do podskakiwania na niej, co miało świadczyć o fizycznej wytrzymałości tego organu anatomicznego. Biorąc pod uwagę, że mogłem wtedy ważyć ok. 20 kg trudno uznać, że demonstrację tę można zaliczyć do kategorii nadzwyczajnych wyczynów. Z osobnikiem tym wiąże się też historia, która nie miała na szczęście, ale mogła mieć, tragiczne następstwa. Aresztowany pewnego razu w chłodnej porze roku za awanturę po pijanemu Jan S. przemycił w jakiś sposób, mimo policyjnej rewizji, zapalki do aresztu, wyciągnął z siennika słomę na środek celi i podpalił ją. Okno celi wychodziło, na szczęście, na okna naszego mieszkania, rodzice od razu zauważyli łunę od ognia. Tatuś natychmiast pobiegł do aresztu i wspólnie ze stróżem gminnym

ugasili pożar, a Jan S. od zdenerwowanego Tatusia zainkasował parę soczystych kopniaków w tylną część ciała poniżej krzyża. Mimo zamroczenia alkoholowego dotarło chyba do niego, że tym razem przeholował, bo w formie usprawiedliwienia bełkotał, że było mu zimno i chciał się trochę ogrzać.

W następnym odcinku min. o straży ogniowej oraz sposobach zarobkowania bychawian, w tym Żydów



Rozmaitki na bis

Żeby kózka nie skakata, to by nóżki nie złamała
Żeby nóżki nie złamała, to by nam nie sprzysławiała
Nóżka dawno zdrowa, cała, lecz w przysłowiu pozostała
I puenta tu zabawna: połam nogi – będziesz sławna

Jak osioł uparty i jak lew zażarty
Jak tchórz jest tchórzliwy, jak wilk napastliwy
Czasem zbaranieje lub chytrze zlisieje
Jak struś schowa głowę, przedzierzgnie się w sowę
Bądź jak wół zaryczy, jak źmija zasyczy
Bywa dojną krową i kurą domową
Bywa głupią gąską (nie mylić z zakąską)
CZŁOWIEKiem też b-y-w-a
I tak się nazywa

„Lu-na”

Rozmaitki odprzysłowne

Nie zdarzyło się w potrzebie
By ktoś pękł, śmiejąc się z siebie

kiedy tysy horror przeżył
rzekł: „włos na głowie mi się zjeżył”

był raz komik, grubas Cechu
więc mówiono: becška śmiechu

pewna świnią w swej głupocie
umurzana cała w błocie
pretensyją sobie rości
żeby zostać miss piękności.
Zwątpił knur: „czy to się uda?”
Odchrumknęła urażona:
„uwierz, wiara czyni cuda!”

było zawsze w dziadka modzie
że trzymał język na brodzie
bowiem cała dziadka gęba
miała snąć jednego zęba!
Powiedzcie więc, proszę, sami,
Jak mógł trzymać za zębami?

„Lu-na”



Ksiądz A. Kwiatkowski w otoczeniu imponującej liczby muzykujących. Orkiestra dęta parafialna? Przepuszczalnie lata 1920-1924(?)

Fotografię z albumu rodziny mieszkającej w Gdańsku przesłała J. Luterek - Cholewska.